Nr. 50. We Lwowie dnia 10. grudnia 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Nowe prądy w Czechach.

(Ciąg dalszy).

Stronnictwo postępowe, zapoczątkowane w łonie młodzieży uniwersyteckiej, zwolna przyjmowało i inne żywioły: z sfery inteligencji, rzemieślników, robotników i rolników. Prasa jego wzmogła się ogromnie, jak tego dowodzi następujący spis jego organów. Na miejscu zawieszonych »Neodvislych listu« (w Kolinie) wychodzą »Radikalni listy«, również w Kolinie. W Horzycach wznowiono »Czasopis pokrokoveho studenstwa«. Organem miesięcznym są wychodzące w Chrudimie »Rozhledy«. 18 października poczęto wydawać dwutygodnik popularny »Lid«, którego każdy numer kosztuje tylko *1 centa*. Oprócz tego pisma prowincjonalne: »Czesky venkov« w Kralowym Dworze, »Hlasy z vychodnich Czech« w Chrudimie, »Horzicky list« w Horzycach, »Straż na Cidlinie« w Nowym Bydżowie, »Posel z Podhorzi« w Rychnowie i parę innych przyznają się do programu postępowców.

Jakim jest program tej partji, oto co nas najbardziej interesuje, a co postaramy się pokrótce wyłożyć.

Trzeba przyznać, że postępowcy mają jasny, dokładny i szczegółowy program, czego żadną miarą nie można powiedzieć o dwóch starszych partjach czeskich. Za postępowego człowieka uważają postępowcy każdego, kto jest przeciwnikiem gnębienia narodu przez naród, płci przez płeć, klasy przez klasę.

Żądają oni reorganizacji Austro-Węgier na następujących zasadach: 1. Zapewnienia praw każdej narodowości. 2. Federacyjnego połączenia krajów z zupełną autonomją na podstawie bądź historycznej, bądź też etnograficznej. 3. Urządzenia tej federacji z zachowaniem swobód obywatelskich i zawarowania praw mniejszości. Pod względem politycznym żądają postępowcy zupełnej wolności sumienia, słowa, druku i t. d.; powszechnego głosowania dla wszystkich, bez różnicy płci; zaprowadzenia milicji; bezpłatnego sądownictwa dla ludu, z odpowiedzialnością urzędników za wszelkie przekroczenie praw podczas urzędowania. Pod względem kulturalnym stronnictwo będzie starało się, ażeby wychowanie obecne było zreformowane w duchu współczesnym, ażeby wyniki wiedzy pozytywnej stały się własnością wszystkich warstw narodu, a specjalnie będzie dążyć ku temu, ażeby kościół był oddzielony od państwa, ażeby szkoły były bezpłatne i t. d. Pod względem społeczno-ekonomicznym postępowcy żądają zaprowadzenia ogólnego podatku postępowo-dochodowego, zniesienia podatków od rzeczy, niezbędnie do życia potrzebnych, zakazu tworzenia fideikomisów, wyłączenia z egzekucji minimum egzystencji oraz narzędzi rolnika i rzemieślnika, bezpłatnej pomocy lekarskiej i upaństwowienia lecznic, rozwoju ustawodawstwa ochronnego, ustanowienia normalnego dnia roboczego, minimalnej płacy, zakazu pracy dzieci i t. d.

Jak widać z tego, program stronnictwa postępowego różni się i od programu stronnictw narodowych i od programu socjalnej demokracji. Wówczas, gdy ten ostatni uwzględnia (w Czechach) tylko sprawy ekonomiczno-społeczne, a poprzedni tylko narodowo-polityczne, program postępowców łączy w sobie postulaty obojga rodzajów, stojąc jednak bliżej, jak to sami postępowcy uznają, do programu socjalno-demokratycznego. Tem się tłumaczy fakt tak szybkiego wzrostu stronnictwa i jego popularności śród różnych warstw, nie wyłączając i robotniczej.

Jednym z głównych punktów programu postępowców, tak samo jak i młodoczechów, jest t. zw. czeskie prawo państwowe, t. j. samodzielność polityczna Czech, Morawy i Śląska. Ten punkt jest dla nas bardzo ciekawy, ponieważ na mocy czeskiego prawa państwowego, nasi pobratymcy przywłaszczają sobie cały Śląsk Cieszyński, przez ludność polską zamieszkany, a p. Gregr w jednej ze swych mów, wygłoszonych w parlamencie, rościł pretensje nawet do ks. Oświęcimskiego i Zatorskiego (!). Co do tej ostatniej kwestji, postępowcy nie wyłuszczyli jeszcze jasno swych zapatrywań.

Drugą, bardzo nas obchodzącą sprawą, jest zachowanie się postępowców względem t. zw. »kwestji słowiańskiej«. »Sprawa słowiańska« — powiada dr. D. M. — jest u nas i wszystkiem i niczem. Jest to chaos uczuć, chęci i fantazji, a gdy występuje konkretnie, zaraz na scenę zjawia się owa »wielka« Rosja, jako zbawiciel całej Słowiańszczyzny«. Jeden z organów postępowców mówi: »Sprawa słowiańska to zewnętrzna i wewnętrzna emancypacja gnębionych narodowości słowiańskich, a solidarność słowiańska jest tylko środkiem do jej osiągnięcia«. »Sprawa słowiańska jest sprawą zabezpieczenia egzystencji wszystkim narodom słowiańskim, które jej nie mają zabezpieczonej, wobec Niemców i innych plemion, a także innych słowian (Rosjanie Polacy, Polacy-Rusini w Galicji)*. Postępowcy uważają za nieodbicie potrzebny sojusz Słowian, jeno nie całych narodów słowiańskich, ale tylko pojedyńczych pokrewnych partji. Solidarność partji polega na wspólności interesów, przeto tem samem już wyklucza się owa sentymentalna wzajemność słowiańska na podstawie tylko pokrewieństwa językowego.

Takim jest w ogólnych zarysach program postępowców.

Dotąd stanowili oni, i jeszcze długo pewnie będą i nadal stanowić, tylko frakcję obozu młodoczeskiego, póki się w samodzielną partję nie zorganizują. Dotąd pomiędzy postępowcami przeważa prąd nieprzychylny oddzieleniu się, ale niewiadomo, co może przynieść najbliższa przyszłość. Postępowcy, zostając w łonie partji, pchają ją na drogę radykalnej opozycji, co wcale do gustu głównym menerom stronnictwa młodoczeskiego nie przypada. Znużyła już ich polityka opozycyjna, woleliby też oni przychylić się na stronę oportunizmu, byleby tylko rząd chciał z nimi paktować. Symptomatów tego zwrotu da się spostrzec już nie mało. Młodoczesi oczekują tylko chwili odpowiedniej, ażeby spuścić z tonu i wejść w kompromis z rządem. Z tego powodu stanowisko postępowców, których żądania w miarę wzrostu samej frakcji stają się coraz natrętniejszymi, jest dla nich narzucone. To też »Narodni Listy« w ostatnich czasach wypowiedziały tym ostatnim otwartą wojnę, a niektórzy z posłów młodoczeskich, stając przed wyborcami, w słowach pełnych oburzenia, wypowiadali swą niechęć ku postępowcom (Schwarz w Pilźnie, a Dyk w Rokycanach). Co z tego wyniknie, zobaczymy w przyszłości.

Praga.

L. Wasilewski.



* Mybyśmy musieli dodać: Czesi-Polacy na Śląsku, Czesi-Słowacy na Morawach.

Złotem ci to naród nagrodzi.

Przez

L. K. Łazarewicza.



Zmrok zapadał, a parostatku jak nie widać, tak nie widać. Ci wszyscy, którzy oczekiwali jego przybycia, jęli powoli się rozchodzić i wkrótce dwaj już tylko mężczyźni pozostali na brzegu Sawy — jeden w fezie i szerokich szarawarach, drugi w mundurze i z ostrogami. Ten w fezie — Błagoj Kazandżija — od rana kręcił się już tu niespokojnie, co chwila zaczepiając kogoś pytaniami. Robił on w ogóle wrażenie człowieka, który czuje w całem ciele swędzenie, a nie wie, jak ma na to poradzić. Wpadał niekiedy do nadbrzeżnej mehany*, lecz opuszczał ją natychmiast z całym pośpiechem, jakby się obawiając spóźnić i znowu posyłał badawcze spojrzenie wdal po spokojnej powierzchni Sawy. Dość przyjemna, lekką siatką zmarszczek okryta siwym wąsem i takimiż bokobrodami przyozdobiona twarz jego tworzyła pewien kontrast ze spojrzeniem małych, jasno niebieskich oczu, które przebiegały szybko z przedmiotu na przedmiot, nie tracąc wszakże dobrodusznego wyrazu.

Drugi z oczekujących, kapitan Atanazy Jelicicz, stał nieruchomie oparty na szabli przez cały dzień na jednem i tem samem niemal miejscu. Oblicze jego, zwrócone w kierunku, skąd miał przybyć parostatek, nie nosiło na sobie piętna bohaterstwa, jakie cechuje niekiedy rysy dymisjonowanych podpułkowników, pomimo to jednak nasuwało ono mimowoli myśl o skwarnem południu, po którem szaleje burza, zrywając dachówki z kamienic i czapki z głów.

Kapitan tedy stał sobie spokojnie, a kazandżija uwijał się bez wytchnienia. Gdy nakoniec ściemniało już na dobre, skierowali się obaj ku mehanie leniwym, ociągającym się krokiem.

— Nie przybywa i nie przybywa! — wybuchnął kazandżija gniewnie, jak człowiek, któremu karta nie dopisuje w grze.

— Nie przybywa — potwierdził i kapitan ale spokojnym tonem urzędnika, który wie, że za pięć lat awans go nie minie.

— I co też tam zajść mogło, na Boga? — gorączkował się pierwszy — Czyżby?.. kto wie... może tam Turcy...

Kapitan milczał.

— A kogo oczekujecie, panie kapitanie? — zagadnął znowu Błagoj.

— Żony!

— A ja syna. Ranny jest!

Drgnął zlekka, wymawiając ostatnie wyrazy i zaczął ni stąd ni zowąd wytrząsać pełną pra-

* Mehana = szynk, restauracja.

wie fajkę, poczem napakował ją znowu tytoniem, zapalił i tak ciągnął dalej:

— Ale lekko, zupełnie lekko! Doniósł mi o tem jego przyjaciel Jole. Tu oto i tu — i ręką wykonał nieokreślony jakiś ruch, wskazując na lewe ramię i wzdłuż prawej nogi.

— Drasnęła go zaledwie kula! Uwalniają chłopca teraz z lazaretu do domu na urlop, by mógł rychlej wrócić do zdrowia, a potem pójdzie w imię Boga znowu... Powinien iść... Bić Turka to nasz obowiązek!... Oby tylko Bóg zechciał nam dopomóc...

— A czem jest wasz syn? — zapytał kapitan, którego opowiadanie Błagoja zaczynało zajmować.

— Mój syn? — kazandżiją. Eh, gdybyście go widzieli przy pracy! Rękę ma w tem miejscu większej objętości, niż moja noga tu oto. W ciężkich czasach obecnych zmuszony byłem sprzedać wszystko, com miał — bo i poco mi to? — pozostawiłem sobie jedynie narzędzia. Ale dopokąd mam te jego ręce i narzędzia, nie zabraknie dla nas obu chleba, gdybyśmy nawet za dziesięciu jedli..

— Wiem, wiem — przerwał kapitan — ale czem jest syn wasz w wojsku?

— W wojsku? Pieszym. Tak, pieszym. Mówiłem mu nieraz: byćby tobie, brachu, kanonjerem: mógłbyś wykręcać armatą, jakby ci się podobało, a zresztą, gdy działo huknie, miło człowiekowi posłuchać. Ale mój mały rwał się zawsze do piechoty. »Co innego być od wroga na odległości armatniego strzału — mawiał — a co innego znaleźć się tak blisko, aby go za kark uchwycić«. Zgroza nań patrzeć, gdy gniewem zapłonie... Trawa nie rośnie, gdzie uderzy.

— A gdzie został ranny?

— Nie wiem, na Boga! Nadaremnie wytężam pamięć, nie pamiętam! Pisał mi wprawdzie jego towarzysz Jole, alem zapomniał. Tak cudacznie brzmią nazwy tych miejscowości. Ale oto macie list! W dwu bitwach — w dwu!...

Wyjął z kieszeni zmięty, zasmolony papier i podał kapitanowi, który pośpieszył z nim do mehany, aby go tam przy świetle przeczytać.

Weszli obaj do mehany o długich, brudnych stołach i zakopconych ścianach, z których jedną przyozdabiał upstrzony przez muchy zegar. Z sufitu zwieszała się lampa o ledwo dostrzegalnym przez czarne od sadzy szkło płomyku. Na środku zaś izby widniał stołek z nadłamaną a tak malowniczo wysuniętą naprzód nogą, jak gdyby miał pretensję fotografować się w tej pozie

Kapitan usiadł na ławie pod oknem i pogrążył się w czytanie zasmolonego listu. Błagoj przewrócił najprzód na podłogę ów złamany stołek, mrucząc pod nosem: »I poco tu takie dziwolągi« — a następnie usadowił się naprzeciw kapitana i zasunął rękaw od kabata, chcąc oprzeć się łokciem o stół. Lecz nagle wzdrygnął się, ujrzawszy na nim jakąś brudno-czerwoną posokę.

— Hej, chłopcze! Tego już za wiele! Spójrz: o małom rękawa sobie nie powalał! Wytrzej mi to zaraz, leniuchu jeden!

Z najciemniejszego kąta mehany wynurzyło się rozczochrane jakieś stworzenie.

— Dla czego tu u was tak brudno, nicponiu jakiś!

— Wszak to mehana, gospodarzu Błagoju — tłumaczył się kelner, przytaczając, jak sądził, najlepszy argument na swoją obronę.

Ale Błagoj uniósł się większym jeszcze gniewem.

— Ach ty, mędrku jeden! Wszak i mehana nie dla trzody chlewnej przeznaczona.

Tłumacz. z serbskiego

M. W.

Dok. n.



KARTKI NAUKOWE.



Nowe badania psycho-fizjologiczne: Zmysł dotyku u mężczyzn i kobiet. — Fosforescencja ciał przy niskiej temperaturze. Wszystkie ciała są świecące. — Nowe poglądy na epidemję cholery. Doświadczenia Miecznikowa. — Tajemnice drobnoustrojów.

Porównawcze badania psychologiczne są na porządku dziennym. Wspomnieliśmy niedawno, że w Ameryce przedsięwzięte były porównawcze badania nad delikatnością węchu u mężczyzn i kobiet. Obecnie znakomity fizjolog angielski Galton przeprowadził podobne doświadczenia w celu przekonania się, jaka jest względna czułość na dotyk u mężczyzn i kobiet. Doświadczenia powyższe robią się za pomocą metody Webera, polegającej na tem, że do skóry dotykają końcami kompasu, lekko rozwartego, i stopniowo oddalają jego końce, dopóki osoba, podlegająca doświadczeniu, nie uczuje dotyku dwóch ostrzy. Gdy ostrze kompasu są bardzo zbliżone do siebie, wówczas oba wrażenia zlewają się z sobą i wydaje nam się, że czujemy tylko jedno dotknięcie. Powtarza się tu coś podobnego jak z kulką chleba, która, gdy kręcimy ją na stole między dwoma palcami, daje nam wrażenie, jakgdybyśmy mieli nie jedną, lecz dwie kulki.

Przy doświadczeniu z kompasem czułość danego osobnika okaże się tem większą, im mniej rozwarty kompas da mu wrażenie podwójnego dotyku. Przecięciowo biorąc, najmniejszy

odstęp, dający wrażenie podwójne, waha się między 1—2 centymetrami, ale cyfry te zmieniają się bardzo, stosownie do jednostek. Należy doświadczać w ten sposób, aby dana osoba nie widziała przebiegu doświadczenia i dlatego Galton badał czułość skóry na karku.

Próby swe robił Galton na 932 mężczyznach i 377 kobietach rozmaitego wieku i stanu. Jak widzimy, są to liczby poważne. Doświadczenia te wykazały, że przeciętnie czułość na dotyk u kobiet była delikatniejsza, niż u mężczyzn o 2 milimetry. Czyli, innemi słowy, dla mężczyzn trzeba była rozwierać ramiona kompasu o 2 milimetry więcej, niż dla kobiet, aby odebrali wrażenie podwójnego dotyku.

Nie zapominajmy jednak, że to są średnie liczby, że mogą być wielkie różnice indywidualne i że bywają mężczyźni, obdarzeni znacznie większą czułością na dotyk, niż kobiety.

Niemniej ciekawe doświadczenia dokonane zostały w dziedzinie fizyki. Nauka ta, jak wiemy, ma za zadanie poznawać rozmaite własności materji. Otóż nie znamy jeszcze dobrze materji, nie umiemy zatem należycie wyciągnąć korzyści z rozlicznych jej własności. Każde nowe odkrycie, w tym kierunku dokonane, rozszerza horyzont naszych pojęć naukowych o przyrodzie i zarazem znajduje zastosowanie w życiu społecznem.

Zaledwie lat kilka temu dr. Hertz dowiódł nam, że światło i elektryczność mają jednakowe pochodzenie, że, właściwie mówiąc, jest to jedna i ta sama siła materji, przybierająca inną postać zależnie od warunków.

Obecnie następca Faradaya, anglik Dewar wykonał szereg niezmiernie ciekawych doświadczeń nad fluorescencją i fosforescencją ciał przy nizkiej temperaturze. Wiemy, że niektóre ciała, jak siarek barytu, chlorek wapnia, siarek wapnia, i strontu świecą w ciemności, jeżeli poprzednio wystawione były na działanie promieni słońca. Tę własność świecenia ciał w ciemności nazwano fosforescencją; fluorescencja jest to świecenie się ciał przez bardzo krótki przeciąg czasu. Dewar przekonał się, że wiele ciał świeci w ciemności wówczas nawet, gdy zamiast wystawiania na słońce, poddamy je przez pewien czas wpływowi elektryczności. Zresztą już znakomity fizyk Becquerel z Paryża zbadał wpływ elektryczności na fosforescencję, a syn jego, objąwszy katedrę po ojcu, wspaniałemi doświadczeniami olśniewał swych słuchaczów, między którymi znajdowała się i pisząca niniejsze »Kartki«.

Prof. Dewar zamierzył zbadać, co się dzieje z fosforescencją przy nizkiej temperaturze, mającej 200 stopni niżej zera. Ciała przy tak nizkiej ciepłocie ulegają zupełnym przekształceniom, stają się niepodobne do siebie. Naprzykład powietrze przestaje być gazem, a zamienia się w ciało skrzepłe. Atmosfera nasza byłaby zmarznięta, jak bryła lodu. Barwa zmienia się; płyty fotograficzne tracą zupełnie prawie swą czułość i t. p. Lecz, co najciekawsze, fosforescencja pod wpływem zimna ulega zupełnemu przekształceniu; te ciała, które przy zwykłej temperaturze były świecące, przestają być takiemi przy 80 niżej zera. Natomiast inne ciała nabierają własności świecenia się, i tak: żelatyna, parafina, słoniowa kość, róg, kauczuk wydają światło przy niskiej temperaturze. Dewar uczynił świecącemi przy 120° jajko, bawełnę, skórę, płótno, mleko, kwiaty i t. p. Widzimy tedy, że przy niskiej temperaturze wszystkie prawie ciała wydają światło, któreby można nazwać światłem zimnem. Kto wie, czy w przyszłości takie zimne światło nie wyruguje z użytku obecnego ciepłego światła.

Przejdźmy teraz do przedmiotu bliższego i interesującego wszystkich bez wyjątku — jest to epidemja cholery. Cholera jest chorobą zakaźną, powstającą wskutek nagłego rozmnożenia się w organizmie bakterji, mającej kształt przecinka, odkrytej przez Kocha. Rodzinnem ogniskiem tej bakterji są Indje, a przeważnie delta Gangesu. Bakterja choleryczna przez długi czas nie mogła zaaklimatyzować się w Europie i przez pół wieku myślano, że ta drobna roślinka egzotyczna, nie utrzyma się w naszym klimacie. Teraz wiemy już, że bakterja Kocha przystosowała się, niestety, do naszych warunków i długo żyć może w naszym klimacie. Dr. Daremberg dowiódł, że epidemja, która w 1892. r. wybuchnęła w okolicy Paryża, nie powstała skutkiem nowej importacji z Indji, ale rozwinęła się dla tego, że ożyły zarazki cholery, które były złożone w Sekwanie i na jej pobrzeżu. Cholera zatem może objawić się pod wpływem warunków miejscowych: zarazki jej mogą przez pewien czas pozostawać w uśpieniu i potem nagle obudzić się do życia.

Jakie przyczyny wpływają na to obudzenie się i na przebieg epidemji cholerycznych? Dotychczas zadowalniano się tłomaczeniem, że pewne warunki atmosferyczne oraz kosmiczne pobudzają rozmnażanie się i jadowitość przecinków cholery. Mówiono o elektryczności, o deszczu, o zmianach poziomu wody zaskórnej, o wiatrach, cieple, zimnie, suszy — pomimo to nie umiano dokładnie wytłomaczyć sobie tajemniczego pojawiania się epidemji. Miecznikow, znany zaszczytnie z poprzednich swych prac nad drobnoustrojami, od kilku lat już oddawał się badaniom cholery za pośrednictwem doświadczeń nad zwierzętami i doszedł wreszcie do bardzo ciekawych wniosków, z którymi zapoznamy naszych czytelników.

Bakterje cholery, dostawszy się do wnętrzności zwierzęcych czy ludzkich, napotykają tam inne gatunki bakterji, przebywające stale lub czasowo. Pomiędzy temi bakterjami jedne sprzyjają rozwojowi bakterji cholerycznej, tak, iż w obecności tych sprzymierzeńców przecinek Kocha mnoży się szybko i czyni wielki rozstrój w organizmie. Miecznikow zauważył atoli, że są

inne bakterje, obecność których wstrzymuje rozwój bakterji cholery, lub przynajmniej znacznie go osłabia.

Są to doświadczenia wielce obiecujące i podają nam nadzieję, że w czasie epidemji zdołamy, być może, uchronić się od cholery, wprowadzając do żołądka kulturę przyjaznych dla nas bakterji. Należałoby teraz zbadać, przy jakich warunkach wymijają się sprzymierzeńcy i nieprzyjaciele bakterji cholerycznej, od spotkania się których zależeć mają nasze losy. Być może zresztą przyszłe poszukiwania wykażą, że i inne choroby epidemiczne, zwłaszcza influenza, wywiązują się także wskutek stowarzyszenia kilku gatunków bakterji..

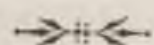
Miecznikow prowadzi swe doświadczenia w instytucie Pasteura w Paryżu i wykryje zapewne niejedną tajemnicę z życia drobnoustrojów.

Dr. M. Stefanowska.



To co Nikita opowiadał.

(Z cyklu poezji prozą: »Łzy i uśmiechy«).



(Ciąg dalszy.)

— No, to Hryhor prawie że w domu jest, a kogoż jeszcze nie ma?

— Najstarszej siostry Nastki, to już całkiem w domu nie ma od pięciu lat; jest u jednej pani w Braiłowie i tam szyje, wyuczyła się...

— Ładnie szyje?

— A, ślicznie! na maszynie, umie różnie obracać, i wąsko, i szerzej założy, krajem wystebnuje, wszystko porządnie porobi... Nieraz matce co przyśle uszytego, to się i płótno czy barchan podrze, a jej uszycie ni...

— Ta pani ją tak nauczyła?

— A tak, pokazywała jej długo i drugiej jeszcze z naszej wsi dziewczynie, ale tamta się nie nauczyła, a moja siostra już to jakoś w palcach miała i zrozumiała maszynę tak, że jej tam nigdy ona nie stanie, ani się nic nie popsuje.

— A dawno w domu nie była?

— Już ze trzy roki, bo ta pani z okolicy się wyniosła i zabrała ją ze sobą, a od roboty odjeżdżać trudno. Zarabia też dobrze, ma pięć rubli na miesiąc, a na święta sprawiła do domu dwie konewki, bo wiedziała, że już są stare.

— Jakże je przysłała?

— Nie przysłała, tylko ja przywiózł, jakem z moim panem jeździł do Braiłowa po konie.

— Toś i siostrę widział wtedy?

— A, widziałem! urosła i cieszyła się, że widzi swego.

— A po Nastce kto idzie u was?

— Terenti był... już go niema... do wojska poszedł... potem jak wysłużył, to go uwolnili... gdzieś za służbą zwabił się do miasta, aż kędyś do Jarmoliniec... no, i nie poszczęściło mu się...

— Umarł?

— Najpierw służbę tę dostał... w jakimś tam zajeździe... coś zbroił... pokłócił się z gośćiami... pobił z kozakami... wsadzili go... on się potem wstydził do nas wracać, że to już policji zaznał. Ojca się bał, żal mu było, że tak się stało... zaczął słabować, dostał się do nas bliżej, do Olgopola, i tam pomarł...

— Musiało wam być bardzo przykro, że tak umarł gdzieś sam?

— A tak; wszyscy płakali, bo on, choć bijał się i tu we wsi często, a sąsiedzi go nie lubili, że niespokojny, to dla nas był dobry, szczególnie dla małych dzieci, piastował, śpiewał, na skrzypkach cudnie grał; ale jak mu kto z chłopów się sprzeciwił, albo ubliżył, to zaraz bierze za głowę i na drugą stronę gościńca rzuca, bali go się, mocny był i taki pyszny; a tak skończył sam...

Nikita umilkł, przykre wspomnienia musiały przefalować.

— Nikita!

— Słucham.

— Nie smuć się, opowiadaj o innych w domu.

— Kiedy to taka kupa, trudno o nich gadać.

— Mów, nas to bardzo zajmuje, już wiemy o czworgu?

— A tak, jeszcze siedmioro! Jest teraz z koleji brat Trofym, co mu ośmnaście roków, tęgi kozak, wszystko znów powoli robi a dobrze; ten już tylko do orania! mamy trochę tam gruntu, on za ojca orze, bo ojciec stary, lat siedmdziesiąt, już nie zduża, nogi go bolą, czasem z broną, to jeszcze wyjdzie, ale co z pługiem robić, to wszystko Trofym. On już do tego tak się urodził, jak Nastka do szycia. Idzie po roli jakby szył, prościuteńko precz, ani skrzywi, a zawracając, też dziur nie robi, jak inni i ziemi nie rozrzuca.

— Ojciec go uczył?

— A jakże; on jeszcze mały był, to już pług czyścił, a oglądał przytem jak co zrobione; a kiedy ojciec szedł w pole, to on, jak sroka, skacze koło pługa, czasem koniom ciągnąćby pomagał, ale ojciec krzyczał, bo mógł sobie co zerwać. Potem ojciec orał w jedną stronę, on w drugą, potem on w obie już, a ojciec jeno idzie i przykazuje: tędy a tędy, i tak się nauczył, że żaden parobek dworski tak nie będzie

szedł za pługiem jak on. A przytem wesoły, ale powoli, nie będzie się tam bardzo rozśmiewał i hałasował, ale tak, jak kto na niego spojrzy, to mu dobrze się robi.

— Poczciwy musi być bardzo, przyjemnie wam z nim?

— A tak! on też bardzo pomaga, ciężką robotę ma na młode lata, ale zdrów, mocny, jak ulany; przecie czasem, jak nasze grunta obrobi, a ojciec siać wyjdzie, to Trofym jak legnie w szopie spać, to śpi całą dobę. Odpocznie i znów rusza. On tylko spojrzy na ziemię, popatrzy, pomyśli, poklepie grudę, powącha, czasem posmakuje, to zara powie, jak się będzie orała! Jego już gospodarze się radzą, choć kozak młody taki. A też każdego robaka zna, co w ziemi mieszka i co który znaczy, i jak który żyje, jakby z nimi gadał!

Nikita ożywiał się mówiąc. Szczupła jego, śniada twarz poweselała; zazwyczaj małomówny, karny i smętny, rozpalał się, mówiąc o swoich. Ta kozacka rodzina malowała nam się przed oczami wyraziście i ujmująco. Nikita sam należał do najlepszych domowych kozaków, zręczny, szybki, pojętny, pełnił służbę przytomnie, z pewnem wdzięcznem zacięciem. Wieczorami śpiewał piosenki w służbowej stancji głosem nieco za wysokim i wiecznie tych samych kilka, ale nadawał niektórym dźwiękom ładne odcienia, czułe i rzewne, jakby więcej tam miał w duszy czegoś, czego w spokojnej twarzy nie okazywał. W większem ożywieniu powtarzał często: a tak! To co mu się podobało, to już zawsze było dla niego — śliczne! Po polsku, choć Małorusin, mówił czysto, z pewnym namysłem, i rad był bardzo, jeśli go kto za to pochwalił.

— A któż gotuje u was?

— Gotuje Myna, ale jest jeszcze przed nią Ahapja. Tej znów szesnaście roków i zawżdy pierze; nas tyle! a każdy z pola czy skąd brudny wraca, czasem i podarty, to ona i sporządzić musi, nim prać zacznie.

— Ładna jest Ahapja?

— Najładniejsza z dziewcząt naszych i wielki rezon ma. Tamta, Nestka, to mizerna, cicha i mało co gada, ale tę słychać o sto kroków od chaty. Jak pierze, to śpiewa, jak nie śpiewa, to mówi do każdego coś, a jak nie gada, to choć mruczy do bielizny, aż się matka i ojciec z niej śmieją. Ona powiada, że jak tak krzyczy nad szmatami, nad płachtami, to lepiej puszczają i dają się płukać. Ona znów tak ślicznie pierze, jak Trofym orze, a cały tydzień na dzieci uważa, które też czyściej koszulę donosi do niedzieli.

— Skończy zawsze pranie na niedzielę?

— A tak! Jużto wszyscy muszą mieć czyste koszule na święto, dziewczyny zapaski, chusteczki, a resztę tam, co z pościeli zdjęte, lub ścierki, to czasem i niewydąży, jeśli w tygodniu jakie święto i też czysto odziać się trzeba, albo jak słota, to się prędzej zbrudzi na każdym.

— To Ahapja musi jednak mieć ogromną robotę?

— Bardzo dużą! Ojej! Jak zaczyna, to jeszcze szaro w oknach, dzień przestoi przy balji, a zdarza się, że śpią już w izbie, kiedy ona jeszcze się chlapie, a zaraz wynosi precz sama brudną wodę, ściera, gdzie nalano, chędoży wszędzie.

— Sama wodę do prania przynosi?

— A ni! to już ten brat, co z furmanką jeździ, Hryhor, nim se rano pojedzie, to jej w beczce przywiezie, bo to od nas okrutny kawał, no, a jak deszcz pada, to jest deszczówka; jak bielizna zaś wyschnie, to jej pomoże matka składać, wyciągać i na wałku w izbie zmaglować.

— Żelazka nie używacie do prasowania?

— Jeszcze ni, ale ona sobie składa, bo czasem i dla drugich pierze, to jej płacą, i tak już naskładała półtora rubla! Ona umie tak wymaglować, jakby było prasowane, gładziuteńkie, aż się świeci; wie ona to dobrze, i w niedzielę zawsze się krzywi na koszule innych dziewcząt, jakieś, mówi, sine, żółte, chropawe, a od nas, to wszyscy aż biali z daleka. Jak w zimie chorowała, to w domu biedowali, strach! nie było w czem chodzić, Myna z matką ledwie wydążyły cośkolwiek przeprać, jeszcze Myna przy tem swojem gotowaniu, a mała, chuda, jak szczypka, jak pół Ahapji, choć ma już trzynaście lat!

— A umie ona dobrze gotować, taki dzieciak?

— Ślicznie gotuje! szafarka we dworze takich pierogów nie zrobi, jak ona; bo to napcha porządnie w środek dużo kapusty, kartofli, grochu razem, i duże robi pierogi, nie tam takie małe, delikatne, jeno jak się w gębę włoży, to tak pełno, że tchnąć nie można, aż miło! Tak. A znów barszcz robi mocny jak wino, mamałygę z serem wypiekaną, albo kapuśniak z kaszą do tego hreczaną i takie różne rzeczy.

— A obiad kiedy u was? Zdążyż ona na czas dla tylu osób ugotować?

— Trochę, czasem to jej matka pomoże ile ma czasu też, bo ma swoje znów zajęcie koło domu, ciągle wszędzie chodzi, krowę doi, kury dojrzy, odzienie sporządza, w izbie porządkuje, ma też co robić. Obiad zaś to różnie... zimą z południa jedzą razem wszyscy, a latem, to rano się zgotuje, w pole wezmą i tam zjedzą przy odpoczynku. Myna se w dzień wszystko przysposobi, a o świcie rozpali i warzy, a zaś na wieczór, to aż się pozchodzą.

— A Myna też ładna?

— Eh, ni... taka chuderlawa, ale dosyć wytrzyma, bo chce. Za zarobkiem ino patrzy i zawsze więcej prawie zarobi, niż Ahapja, bo też i wolniejsza. Już ze trzy zimy, jak se sama buty sprawia, a jeszcze coś i Łupce daruje.

— Komu, komu?

— A, to najmłodsza dziewczyna, pięć roków tej, Łupka ma imię.

— Ileż może Myna zarobić obok tego gotowania?

— To jak kiedy. Czasem na ogrodach pańskich, to i dwadzieścia kopiejek dziennie i kwaśnego mleka jeszcze dadzą, jak gorąco, czasem tylko piętnaście, jak co lżejszego robić, ale ona się targuje z chłopami, z popem nawet, ze starostą, będzie tak im gadała, aż znudzi, będzie skakała ze złości jak osa, że to świat chodzić, że ją znają za robotnicę pilną, że to psie pieniądze, że za pół darmo, aż przekona, śmieją się ludzie, a ona z kopiejkami wraca do domu.

— To ona i zła umie być?

— Bardzo ni... ale jej dwa nasze małe chłopcy dokuczają i tak ją rozsierdzili; jak ona gotuje, to oni jej przez okno dogadują, przykazują co ma robić i jak, a ona się gniewa, bo się śpieszy. Mówi im, że to nie mała i nie łatwa rzecz gotować, a oni jej dopiekają, że daleko większa i trudniejsza rzecz zjeść, co ona ugotuje! Raz u sąsiada zdechł kot; to oni mu łapki i ogon obcięli i jak im Myna daje ich miskę, bo zawsze razem we dwóch jedzą, to oni rzucą to szkaradzieństwo do miski i dziękować jej zaczną: — A! parada! dziś przecie mięso dała! Myna, daj Boże szczęście! — Wszyscy się dziwią, oni pokazują, izba cała w śmiech, a Myna aż się trzęsie, myślała, że naprawdę co brzydkiego wpadło do garnka. Ojciec ich czasem nabije za nią, to ją zostawią na czas w spokoju, a potem znów zaczepiają.

— Muszą jej w robocie przeszkadzać?

— Ii, niebardzo, jeno ona do serca bierze ich żarty i chce, żeby ją szanowali. Oni nawet jej czasem posłużą, trzaski robią, popiół wygarniają, ogień rozpalą. Ona się wiecznie śpieszy, to się i opędza; w polu, jak inne dziewczyny odpoczywają, to ona se siędzie na kamieniu i szyje. Spodnicę sobie teraz grubą zrobiła na jesień.

— Może to jej na zdrowie szkodzi tyle pracy?

— Bladawa to ona jest, i rodzice by jej nie silili, ale ona ma już taką naturę, że nie posiedzi bez roboty, będzie się jak mrówka uganiała, aż nie pokończy wszystkiego. Bo one obie z Ahapją, to się też i ubrać lubią, pokazać; w niedzielę to tak koło nich szeleści, ludzie je witają, a wtedy Ahapja mniej krzyczy głośno, a znów Myna poweseleje więcej.

— A jakże obie wyglądają?

— Ahapja biała jest, rumiana, tęga, śmieje się do każdego, dziewczyna jak harmada! i pracować i tańczyć może całą noc. A Myna, to mucha, mała, czarna, ale sprytna. Bez nich obu w domu trudno byłoby rodzicom. Do Ahapji, już nawet swaty przychodziły, ale nie można jej było dać, bo któżby prał? Chybaby się brat który ożenił, a to dość trudno, bo oni se szukają takiej, jak Ahapja, a takich dziewcząt mało we wsi.

— A żona Nikity gdzie mieszka?

— A, w swojej chacie, z matką, ale ona ma też dużo roboty, same we dwie wszystko muszą zrobić, bo już ojca tam niema a brata nigdy nie było; ona jedna u matki, chatka stara i biedna i kawałeczek ogrodu, to cały dzień pracują, żona moja jeszcze i na ogrody pańskie chodzi lub do buraków, to też coś zarobi.

— A jak jej na imię i ile ma lat?

— Jewka imię ma, a lat teraz siedmnaście a już dwa roki jak było wesele.

— A chodzi tam Nikita do chaty?

— Często niema czasu, ale jak jest chwila to skoczę, to znów ona przybiegnie, tam od folwarku krzakami pod górę, skacze jak koza i patrzy, czy mnie nie zoboczy, czasem akurat trafi że idę przez dziedziniec, to przyleci, pogadamy i tak.

Dok. n. *Szczęsna.*



Z Ameryki.

New-Jork, w listopadzie.

Na wyspie naszej, pokrytej w całości przez miasto New Jork, rozpoczęło się od jakiegoś czasu i trwa w całej pełni ponure panowanie jesieni. Rozciągająca się na wschodzie olbrzymia masa wodna Atlantyku dostarcza nieprzebranych ilości dżdżu, zlewającego się strumieniami na ulice New-Jorku. Ołowiane chmury pokryły rozpłakane niebiosa, które zapewne z różnych przyczyn na amerykańską ziemię obfite łzy leją. Fortuna odwróciła swe uśmiechnięte oblicze od Jankeesów, którzy nie zdołali jeszcze zatrzeć skutków ostatniego przesilenia ekonomicznego. Ale płacz ten sfer nadziemskich może nie tyle rzetelnym Amerykanom, jak przybyszom z Polski przypisać należy, ci bowiem nie umieją z wolności amerykańskiej tak korzystać, jakby tego sobie życzyć należało. Snać mocne powijaki, jakimi nas w kraju krępują, upośledziły zdolność rządzenia samym sobą, tak że Polonja amerykańska zdradza ustawicznie bezradność i nieudolność.

Zastrzegam się, że nie mówię tu o wszystkich bez wyjątku. Przeciwnie, znajdują się wyjątki i wśród jednostek i wśród towarzystw oraz instytucji, ale ogół nasz polsko-amerykański nie tak żyje, jakby mógł i powinien. Weźmy naprzykład świeżo powstałą »Ligę polską«. Któż z nas w kraju nie cieszył się, czytając o wiecach, konstytucjach, skarbach i tym podobnych, równie

ładnych jak pożytecznych rzeczach? Każdy cieszył się, że Polacy w Ameryce doszli już do tego stopnia rozwoju i dojrzałości, aby módz stworzyć instytucję, łączącą wszystkich w jedną narodowo-kulturną całość.

Różnica przekonań, ścieranie się zdań, jest objawem postępu i żywotności danego społeczeństwa. Nie należy więc życzyć sobie jednobarwności pojęć wśród Polaków amerykańskich, gdyż ta wytworzyłoby zastój i martwotę. Lecz w naszem położeniu jest pewna sfera spraw tak dalece wspólnych, że przy odrobinie wyrozumiałości i wzajemnej tolerancji mogłoby przyjść do zupełnego porozumienia. Gdzież powinniśmy dążyć do wytworzenia wielkich, potężnych instytucji narodowych, jeżeli nie w Ameryce, która żadnych tam i przeszkód nie stawia? Skoro oręż Kościuszki nie zdołał nam wywalczyć lepszego losu w Europie, to w Ameryce możemy korzystać z wolności, zasianej dłonią Washygtona i Kościuszki. Tak — możemy, lecz nie chcemy, czy nie umiemy. Zaledwie parę miesięcy upłynęło od założenia »Ligi«, gdy prezes jej, p. Jerzmanowski zrezygnował z godności i urzędu prezesa.

Mając możność osobistego znoszenia się z p. Jerzmanowskim, nie omieszkałem poprosić o wyjaśnienia mi tego przesilenia. Odpowiedź odkryła przed memi oczami słabe strony »Ligi«, które będą tamowały tak długo jej rozwój, póki nie zostaną radykalnie usunięte. Stowarzyszenie takie, jak »Liga polska«, winno mieć tylko jedną cechę, mianowicie narodową. Tymczasem wiec nadał »Lidze« charakter narodowo-religijny, na co pewna poważna ilość wolnomyślnych Polaków stanowczo się nie godzi i przystąpić do »Ligi« wzbrania się. Do liczby tych ostatnich należy p. Jerzmanowski, który wyjeżdżając z wiosną do Europy, przyjął nominację przed uchwaleniem konstytucji. Powróciwszy, zażądał zmiany pewnych paragrafów konstytucji, które jej niewłaściwy charakter nadają. Od przyjęcia tych zmian czynił zależnem dalsze sprawowanie godności prezesa, nie mógł bowiem i nie chciał udzielać swej firmy instytucji, z której zasadami się nie godził. Rzecz miała się rozstrzygnąć dopiero na przyszłym wiecu w maju 1895 r., lecz rozwój wypadków, których mi bliżej opisywać nie wolno, bo do wewnętrznych spraw »Ligi« należą, spowodował p. Jerzmanowskiego do natychmiastowej rezygnacji. Człowiek, zajmujący niezależne stanowisko, może działać w myśl swych niewzruszalnych przekonań; tak postąpił p. Jerzmanowski, skupiając wszystkie swoje siły w celu pomnożenia skarbu Narodowego w Rapperswylu.

O ile zatem »Liga« straci, o tyle skarb Narodowy zyska. Pan Jerzmanowski mógłby podołać jednemu i drugiemu, co też chciał uczynić, ale zniewolono go do ograniczenia swej działalności i skierowania jej w jedną tylko stronę.

Może brak wśród Polonji amerykańskiej człowieka, któryby spadek po p. Jerzmanowskim mógł objąć, skłoni większość, nadającą ton »Lidze« do ustępstw, co ugrupowałoby wszystkich pod jednym narodowym sztandarem...

Ha! czekajmy a zobaczymy!

Wojciech Szukiewicz.



Przegląd pism.

»Żytie i Słowo«. — Dwumiesięcznik, poświęcony literaturze, historji i folklorystyce. — Zeszyt VI. Listopad-Grudzień. Lwów 1894.

Treść ostatniego zeszytu pierwszego rocznika tego pisma jest dość rozmaita. Na wstępie spotykamy garść przekładów z V. Hugo (I. Franko), z mało znanego poety rosyjskiego Ramszewa (P. Hrab), z Tennysona (I. Franko) i z Lenau'a (J. Krawczenko) różnej wartości.

Dalej idzie urywek dziennnika znanego pisarza ruskiego Włodzimierza Nawrockiego, mający pewne znaczenie dla historyka społeczeństwa galicyjsko-ruskiego.

Dział »Z ust ludu« zajmują dalsze warjanty ruskie o Koszucie i rewolucji węgierskiej r 1848, zebrane przez p. J. Rozdzielskiego tudzież legendy, myty i wierzenia ruskie.

Po wierszowanej powiastce o zadowolonym człowieku, (utwór W. Szczurata) i dalszym ciągu powieści I. Franki »Filary społeczeństwa«, następuje dokończenie wybornego przekłady »Pieśni o Rolandzie«, dokonanego przez W. Szczurata i artykuł G. Parisa o tym poemacie.

Następnie znajdujemy, nie wiadomo po co, przytoczone po rosyjsku opowiadanie warjantu znanej przypowieści o pierścieniach. Po tej przypowieści następuje jeden z najciekawszych rozdziałów obszernej pracy I. Zaniewicza »O literackich dążnościach Rusinów«. Znajdujemy tu dosyć dokładną charakterystykę wpływów polskich, rewolucyjno-demokratycznych na młodą, odradzającą się Ruś, a także historję tych strasznych prześladowań młodzieży ruskiej przez wyższy kler ruski, które złamały niejednego z budzicieli Rusi.

Prof. Dragomanow ciągnie dalej swą gruntowną pracę o dawnych kartach swobód, zajmując się głównie angielskiemi kartami swobod. Dokończenie monografji L. Féera o Budyzmie i sprawozdanie z rozprawki W. Szczurata kończą zeszyt niniejszy.

L. Wasilewski.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.